ROZMAITOŚCI.

Dnia 29. Czerwca Nro 26. Roku 1844.

LEA MERIEL.

POWIEŚĆ Z PAMIĘTNIKÓW PEWNEGO LEKARZA.

1.

Prawie przed pięćdziesięcią laty, zjawiła się w The Thorn, małéj wiosce na granicy księstwa Walii żebraczka, któréj dawniéj nigdy w téj okolicy nie widziano. Zkąd była? Nikt nie wiedział. Kto była? Nikt nie miał ochoty dowiadywać się; tak odrażająca była jéj postać. Rozwiązłość wyryła piętno na jéj twarzy. Była wzrostu dobrego, ale nadzwyczaj chuda, a lica jéj sine wyrażały nałóg pijaństwa. Istotnie prawie zawsze widziano ją pijaną. Po całych dniach widziano ją pijaną. Po całych dniach widziano ją przy drodze nie daleko karczmy, gdzie wiele fur stawało; oczy mając zmrużone, siedziała na kupie kamieni, i żałobliwym głosem prosiła przechodniów o jałmużnę. Każdy przechodzień widząc ją odwracał się od niéj, ale kto ujrzał jéj małą córeczkę, która zwykle przy niéj siedziała, nie mógł iść daléj, nie dawszy jéj wprzód kilka groszy. Dziecię to było blade, mizerne, łachmanami okryte; widać było, ile cierpiało od zimna, głodu i od swéj nielitościwéj matki; a gdy spojrzało siwemi swemi oczkami, wzrok jego był tak błagający i tyle wyrażający cierpienia, że mu nietylko kilka groszy, ale nawet łez kilka poświęcić musiano. Lubo jałmużny, które dziewczynka dostawała, czasem dosyć znaczne były, przecież częstokroć zaledwie miała kawałek suchego chleba, aby głód swój zaspokoić; pieniądze bowiem odbierała jéj matka i zaraz przepijała w najbliższéj karczmie; kilkakrotnie nawet popełniła kradzież u ludzi którzy ją na noc przyjęli, aby tylko zaspokoić nieszczęsny nałóg pijaństwa. Widziano ją także bijącą często bez najmniejszéj przyczyny ową dziecinę; ale biedna dziewczynka znosiła wszelkie bicia bez żadnéj skargi, a nawet rzadko widziano wtedy łzę na jéj licu, tak już nieszczęśliwa była przywykła do bicia; i nie wiedzieć zkądby się w niéj łez dobiérać miało, tak była wynędzniała i osłabiona.

W owym czasie nie zwracali prawodawcy uwagi na żebraków; przeto owa żebraczka nietylko bez żadnéj przeszkody publicznie żebrała, ale nawet zamieszkała ruiny blizko ćwierć mili ode wsi odległego domu. Wkrótce skutki opilstwa tak ją osłabiły, że nie mogła już więcéj opuszczać swego schronienia, a tak więc sama dziewczynka żebrać wychodziła. Widok matki nie odstraszał już dobroczynnych ludzi; zaczęto się więc teraz więcéj tą dzieciną zajmować. Spostrzeżono w niéj wiele dowcipu i pilności, a wdzięczność z jaką każdy dar odbiérała, zjednała jéj wnet względy wszystkich kobiét we wsi. Dowiedziano się, że się Lea Meriel zwała, że była córką żołniérza; ale nic więcéj nie pamiętała, jak tylko że od piérwszych chwil z matką swoją żebrała.

Osobliwa chęć do nauki wyszczególniała to dziecko. Chociaż nie umiała czytać, zbiérała różne papiérki i zużyte kartki. Gdy jéj pokazywano litery, i uczono ją składać słowa, największą okazywała radość; dar z jakiéj staréj książki, zachwycał ją prawdziwie, a pare rycin sprawiało jéj radość niewymowną. Czém więcéj unikała dzieci równego sobie wieku, tém więcéj zbliżała się do kobiét, bawiąc się z niemi rozmową i bezustannémi pytaniami. Zapewne poważne jéj zachowanie i chęć do nauk zjednały jéj

przydomek: Lea czarodziejka, i odtąd znano ją tylko pod tém nazwiskiem.

Dzień był dla niéj tylko nieprzerwaném cierpieniem; a przecież było jedno miejsce do którego się nigdy bez żywéj radości nie zbliżała. Miejscem owém był dom właściciela papierni, z któréj większa część mieszkańców owéj wioski utrzymanie pobiérała. Nigdy nie oddaliła się Lea z tego domu bez otrzymania kilku groszy, pary sztuk starego odzienia, a czasami ostatków ze stołu, które dla niéj wielkim były przysmakiem. A przecież nie tylko te dary ciągnęły ją do domu fabrykanta. Często siedział wsparty na oknie młody syn właściciela papierni; byłto pilny, miły chłopczyna, który z nią lubił się bawić i udzielać jéj nauk, które sam posiadał. Uważając ją za swoją uczennicę, był najszczęśliwszym, gdy ją uczył na książce, lub czas na rozmowach z nią spędzał. Najczęściéj odbiérała od niego podarki, i rzadko kiedy odeszła, aby nie dostała od niego piękny bukiet. Znieważana od swéj matki, wzgardzona od wszystkich dzieci równego wieku, niezwykła usłyszeć dobrego słowa; byłże dziw iż biło serce biednéj Lei, gdy się zbliżała ku mieszkalni właściciela fabryki?

W kilka lat późniéj wziął właściciel papierni ową dziewczynkę do roboty, a gdy równocześnie gromada matce jéj niejakie wsparcie wyznaczyła, zdawała się nieco zmniejszać niedola biednéj familii. Od téj chwili zamieniła Lea łachmany swoje na skromne ale czyste odzienie; ale zawsze była przedmiotem różnych uszczypliwych przymówek, a jéj współpracownice zawsze nią pogardzały. Dlatego téż Lea unikała ich towarzystwa, i żyła w samotności, bawiąc się jedynie książkami.

Fabryka leżała na końcu małéj, zaroślami otoczonéj doliny. Ponieważ rzeka która poruszała machinę, za mało miała wody, zrobiono więc w niejakiéj odległości od fabryki mocnemi groblami opatrzony staw, przy którego brzegu właściciel owéj fabryki, początkowo założył swoje mieszkanie. Późniéj zamieszkał z familiją we wsi, a dóm ów oddano zawiadowcy fabryki na mieszkanie; ale woda podryła fundamenta, i tak dalece dom uszkodziła, że dłużéj niepodobna było w nim mieszkać. Powoli zaczęły się walić mury; nareszcie spadła większa część dachu. W tychto ruinach osiadła owa żebraczka, i nikt nie wzbraniał jéj w nich pobytu.

Lea obrała sobie małą izdebkę na piérwszém piątrze, a to najwięcéj dla tego, że do niéj wschody po największéj części spróchniałe były, a tak matka nie mogła jéj samotności przerywać. Resztą najlepsze okazały się skutki tego rozłączenia. Nie tylko widać było zmianę w ubiorze dziewczynki, ale widocznie była weselszą i zdrowszą.

W tychto ponurych murach, pierwsze młodości lata Lei upłynęły. Doszła nareszcie lat piętnastu. Głód, zimno, choroby, poniżenia, musiała dotąd znosić biedna Lea; ale wnet miał się skończyć czas jéj doświadczenia. Pilność i zręczność zjednały jéj lepszą posadę w fabryce, widziała się już od nędzy zabezpieczoną, a z wiekiem zdołała zniewagom matki unikać.

Dziecko owe było nareszcie panną. Wzrost jéj był smukły; w miejscu dawnéj bladości wystąpił piękny rumieniec, a usta jéj zdawały się być jakby koralowe. Zdawało się, że tylko ręce i nogi nie uległy żadnéj zmianie. — Biédna owa córka żebraczki, niegdyś na pośmiewisko i wzgardę wystawiona, była teraz królową piękności w owéj wiosce ogłoszona. Piękne rysy jéj twarzy, siwe, miłością pałające oczy i zręczność do podziwienia, zachwycały każdego. Dawniéj zwano ją na wzgardę Leą czarodziejką, ale teraz dla jéj prawdziwie czarownych wdzięków. Chłopcy którzy ją niegdyś kamieniami bili i psami szczuli, gdy wyrośli, byliby za nią życie dali; ale wszelkie ich zabiegi były daremne. Lea była nieczułą na ich pochlebstwa, a cała wieś zdumiewała się nad jéj skromném i wstrzemięźliwém zachowaniem. Zaledwie zadzwoniono we fabryce na spoczynek, zaraz spieszyła Lea do swoich ulubionych ruin.

Cwierć mili prawie od papierni w stronie nieprzystępnéj, były gęste zarośla. W pośrodku tych zarośli była przyjemna łąka; zwiérz dziki zaledwie zabłąkał się czasami w to ustronie. Pięknemi wieczorami w lecie chodziła tam Lea i zwykle późno wracała; ponieważ zaś jéj ulubiona samotność wszystkim wiadoma była, nie zważano na te jéj

przechadzki. Ale wnet rozeszła się wieść, że kilka osób które przypadkiem do wrębu zaszły, widziały dziewicę w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka, z którym bardzo poufale rozmawiała; a myśliwi przechodząc w téj okolicy, twierdzili że widzieli pod krzakiem głogowym jakąś młodą parę, w któréj Leę czarodziejkę z jéj tajemnym miłośnikiem poznali.

Tak dwa lat upłynęło, dwa lat roskosznych, w czasie których dziewica bardzo często na łąkę chodziła. Z-razu nieśmiało szła Lea obok swego przyjaciela, i nie poważyła się wesprzéć na jego ramieniu, ale powoli miłość wstyd pokonała, i codziennie siedzieli kochankowie po kilka godzin, patrząc oko w oko na siebie, i rozmawiając o miłości. Gdy usłyszała głos młodego swego przyjaciela, gdy obok niego siedziała, zdawało się jéj, że jest w niebie. Biedne dziewcze, wzrosło, nie wiedząc co to jest być kochaną; wychowana w nędzy i samotności, znieważana i unikana od wszystkich, nie mogła wzbudzić w sobie podobnych uczuć; dla tego radość jéj teraz była tak wielka, jak niegdyś jéj cierpienia. On jeden okazywał udział w jéj nieszczęściu, dla tego przy nim być, jedyne było jéj szczęście. Jednę tylko miała ukochaną istotę na świecie, podobnie jak jéj tylko jedno przyświécało słońce. Inne dziewice, kochają prócz swego kochanka, rodziców, krewnych, przyjaciół, i lubią rozrywki, ubiory i bale, ale Lea kochała tylko jego jedynie, a wyobraźnia jéj w szkole nieszczęść i samotności doświadczona, tém bardziéj wzmacniała jéj miłość. — Miłość zajaśniała przed jéj oczyma, jak blask słoneczny ślepemu, który pierwszy raz spojrzał.

Słodki był ów kielich miłości, ale przyprawiony trucizną.

Lea błagała dniem i nocą Boga, aby tylko spokojnie żyć mogła; wtém dnia jednego wpadła jéj piękność właścicielowi fabryki w oko, i lubo był już ojcem i wieku podeszłego, przedsięwziął uwieść siérotę. Wiedział, że tylko potrzebował odjąć jéj wsparcie, aby w dawną popadła nędzę; myślał więc że tak wszystkiego dokaże; ale pierwsze zbliżenie jego, tak srodze przeraziło dziewicę, że już więcej nie pokazała się w papierni. Gdy tak kilka dni samotna żyła w swoich ruinach, wszedł dnia jednego późnym bardzo wieczorem właściciel papiérni Georges Bazyl.

Stara żebraczka siedziała w małéj izbinie, która niegdyś za kuchnią służyła. Napół naga, niesłychanie zabrudzona, ogrzéwała się przy ogniu, który córka na ogromnym kominie z suchych gałęzi rozniecila. Przy niéj stała na ziemi wypróżniona flasza, a w ręce trzymała małą, glinianą, zakopciałą fajkę. Czy spała, czy nie, trudno było poznać; w takim stanie otrętwienia zdawała się być z opilstwa.

Pan Bazyl poruszył klamkę i rozwarł drzwi. Chociaż przywykły patrzéć na najokropniéjszy stan nędzy, wzdrygnął się przecież na widok, jaki się stawił przed jego oczyma. Po krótkiém wachaniu, przemógł tak dalece swoję odrazę, że wszedł i zagadał żebraczkę.

Ta natychmiast poznała przybyłego, czekała bowiem na niego; skinęła aby usiadł na klocku, jedynym sprzęcie do siedzenia. — Sama stała wsparta o komin i zaczęła z nim coś cicho rozmawiać; chwilami błysnęła zapadłym wzrokiem — przebąkła słowo — — nie wiedzieć o czém radzili. Zapewne nie będą sądzić czytelnicy, aby matka miała poświęcać cnotę swéj córki dla zysku jakiego; miłość bowiem macierzyńska żadnéj podobno nie ustąpi korzyści. A przecież lekarz poznał w jednym roku więcéj okropności w naturze ludzkiéj, niżeli jaki filozof, który całe życie swoje na rozmyślaniu strawił! — Nie widziałżem matek, które sprzedawały mi drgające jeszcze zwłoki córek własnych do anatomii?..

Pan Bazyl włożył kilka złotówek w rękę żebraczce. Obracała je w rękach, przypatrzyła im się z obudwóch stron, nareszcie schowała je, nie rzekłszy ani słowa.

Nagle wzdrygnął się przybyły, zdało mu się bowiem, że słyszy stąpanie po-nad sobą.

»Saro!« rzekł z-cicha. »Przecież to nie będzie kto inny, jak tylko Lea... spodziéwam się, że nie będę miał żadnéj przeszkody.«

»Przeszkody?.. a to od kogo?« mruknęła stara.

»Więc dobrze, ale zaświéć mi przynaj-

mniéj moją latarkę; więc to temi drzwiami po prawéj ręce na końcu kurytarza?«

»Tak jest... ale uważajcie abyście nie zbłądzili; bo gdybyście weszli lewemi drzwiami, zapadłaby się pod wami spruchniała podłoga, i wpadlibyście do piwnicy, w któréj pełno jest wody.«

Zaledwie wyszedł pan Bazyl, z trudnością powlekła się stara ku drzwiom i słuchała. Słyszała, jak stąpał po spróchniałych schodach i szedł po kurytarzu. Wnet skrzypnęły drzwi; w téj chwili dały się słyszéć dwa silnie przemawiające się męzkie głosy; potém krzyk kobiéty; hałas wszczął się wielki, łoskot straszliwy, jak gdyby walczono o śmierć lub życie; nareszcie wyraźnie słyszała żebraczka słowa: »Zabójco! Zabójco!«

»Rany Boga, to głos mojego pana!« krzyknęła za żebraczką nowa jakaś osoba, która nieznacznie do izby weszła. »Swiatła! Światła! Tam widzę z diabłem jakaś zachodzi sprawa.«

Pochwycił za palące łuczywo, otworzył drzwi i biegł po schodach.

Człowiek ów był sługą pana Bazyla; miał on rozkaz czekać na niego przy papierni, ale zniecierpliwiony zbliżył się ku ruinom, a słysząc krzyk przybiegł na ratunek. Trudno mu było przebyć ciemny kurytarz, ale w obrocie ujrzał szczeliną światło, pchnął silnie drzwiami i otworzyły się.

Miejsce do którego wszedł, była mała, ale bardzo chędogo utrzymana izdebka. Na kominku palił się ogień, a na dwoma świécami oświetlonym stoliku, leżały książki, papiery i narzędzia do szycia. Lea czarodziejka leżała bez przytomności na łożu. Włosy jéj były rozczochrane, a w jéj rysach malował się wyraz okropnego przerażenia. W prawéj ręce trzymała z konwulsyjném natężeniem nóż. Nie daleko Lei, leżał twarzą do ziemi Georges Bazyl. Sługa jego przyskoczył aby go podnieść, wtém spostrzegł blisko niego krwią zbroczoną ziemię. Mimo przestrachu jaki go przejął, podniósł swego pana; jeszcze czuł, jak w śmiertelnéj walce drgały w nim muszkuły, a na czole spostrzegł okropną ranę, z któréj wielkim strumieniem krew pluszczała. Nie wiedząc coby miał robić, chwilę stał jakby ztrętwiały. Nie możnaż było jego o morderstwo obwinić?... Ale wnet namyślił się. Położył trupa na ziemi i pobiegł do fabryki; tam bił do wszystkich drzwi, i opowiadał każdemu straszliwe swoje odkrycie.

Zaraz zbiegli się wszyscy robotnicy do owych ruin. Na wszystkich twarzach malowało się straszne przerażenie, niewiedzieć było coby robić, kogo obwiniać! Jedni starali się przyprowadzić do zmysłów omdlałą dziewczynę, drudzy podnieśli trupa i oglądali rany. Jak tylko Lea uzyskała przytomność, usiadła na łóżku i z przerażeniem spoglądała około siebie. Ujrzawszy nóż który trzymała w ręku, położyła go powoli na blizkiéj ławie. Wtém spostrzegła zamordowanego, zakryła twarz i padła na łóżko.

»Lea, coś ty zrobiła nieszczęśliwa?« rzekł do niéj jeden z przytomnych.

»Bóg moim świadkiem, jam nie zrobiła tego!«

»A któż więc?«

»O, okropnie, okropnie!« rzekła słabym głosem; potém milczała chwil kilka, nareszcie rzekła: »Róbcie ze mną co chcecie, ja wam nic nie powiém!«

Umieszczono ją tymczasem w najbezpieczniejszéj gospodzie we wsi, nie zapominając o nożu który w jéj ręce znaleziono. Spostrzeżono z największém zadziwieniem, że na ostrzu najmniejszego nie było śladu krwi; zresztą zadana panu Bazyl rana zanadto była głęboka, aby takiém narzędziem zadana być mogła.

Jednem słowem, w całém owém zdarzeniu było coś tajemniczego, a najdziwniejsze pogłoski krążyły o Lei i jéj dziwnym czcicielu. Mówiono o duchu, który niegdyś pojawiał się w owéj dolinie, a każdy utrzymywał w największém przekonaniu, że nie bez przyczyny pan Bazyl, a późniéj zarządca papierni opuścili owe ruiny. Widoczna zmiana Lei— mówiono — dostatecznie przekonuje, że nadnaturalne jakieś zdarzenie zajść musiało. Nawet rana zdawała się być istotnie nadnaturalnym sposobem zadana; czaszka zupełnie była roztrzaskana; nikt nie potrafiłby tak silnie ugodzić.

Tymczasem lekarz otworzył ciało zamordowanego, a zdaniem jego było rozmyślne zabójstwo, popełnione zapewne przez Sarę

Meriel, Lee Meriel i może więcéj jeszcze osób. Zeznania sługi zamordowanego największym były powodem do tego zdania.

Biedna Lea! Błogie chwile miło jéj płynęły, lecz krótko trwały. — Aresztowano ją, podobnie nakazano przystawić i jéj matkę jako współobwinioną; ale żebraczka znikła, a najtroskliwsze poszukiwania, były czas niejaki daremne; nareszcie znaleziono jéj zwłoki w przyległym potoku. Z dziesięciu owych złotówek, które jéj dał Bazyl, dziewięć jeszcze znaleziono przy niéj, dziesiątą wydała na pijatykę i ta dziesiąta była przyczyną jéj śmierci.

Podczas tego zdarzenia, przybył syn zamordowanego, John Bazyl, który w Londynie prawa słuchał, do głównego miasta owego hrabstwa. Nie wstępując ani do papierni, ani do rodzicielskiego domu, wezwał swego ajenta do siebie, oświadczył mu, że mu oddaje zarząd papierni, sam bowiem w żaden sposób nie może zajmować się fabryką, i zaraz odjechał do stolicy.

Biedna Lea zamknięta w wilgotném więzieniu, kilka miesięcy oczekiwała zwołania sądu przysięgłych. Srodze była strapiona i widocznie niszczała; zbrodni zabójstwa obwinioną, oczekiwał może wyrok haniebnéj śmierci; — nie słyszała głosu ludzkiego, prócz swego łkania i brzęku kajdan, które jéj więzienie przypominały. Nie dla niéj słońce świeciło; — ciasny otwór więzienia zaledwie tyle dostarczał powietrza, ile oddechać potrzebowała; a jego nie było przy niéj.... nie widziała, nie słyszała go więcéj!

A przecież każdego wieczora nucił jednakową piosnkę jakiś przechodzień pod murami jéj więzienia. Któż to był?... Lea nie mogła widzieć rysów jego twarzy, ale melodyja była jéj dobrze znana, byłato bowiem pieśń, która miała za godło: »Mojéj śmierci winieneś życie!«

2.

Rozpoczęły się sądy przysięgłych. Za trzy dni miał się wytoczyć proces Lei... Byłoto już późno w nocy, a redaktor pewnego dziennika w głównem mieście owego hrabstwa, pracował jeszcze, mając całe biuro papierami zawalone. Całkiem zamyślony w swéj pracy, nie słyszał jak ktoś wbiegł po schodach, zapukał do drzwi a potém wszedł do pokoju.

Przybyły byłto młody, rosły mężczyzna; twarz jego była wybladła, a krok niepewny. Położył kapelusz na stołku, zkrzyżował ramiona, i bez żadnego poruszenia patrzył na piszącego, Nareszcie podniósł piszący głowę, i spojrzał na przybyłego.

»No, cóż znaczy to zadziwienie twoje?« zapytał go przybyły. »Przecież nie będziesz mię miał za nocne zjawisko... Jakże ci się powodzi?... Upowszechnionež twoje czasopismo: »Niepodległy?...«

»Jakto? Na honor.... Ach darujesz kochany przyjacielu,« rzekł redaktor, »istotnie nie poznałem cię... Cóż się to z tobą od tego czasu stało?... Skończyłeś twoje studia; albo....? Dla Boga, Johnie czyś ty chorował?.. Tyś okropnie mizerny... całyś posiwiał!«

»Połóżno na chwilę twoje papiéry Wiliamie,« rzekł przybyły, »i posłuchaj mię; opowiém ci zdarzenie, na które o całéj polityce twojéj zapomnisz.«

»Może pojedynek jaki?«

»Nie; muszę doświadczyć twojéj przyjaźni; ale daj mi słowo honoru, że żywa dusza nie dowié się o tém co ci powiém téj chwili.«

»Nie mogę ci robić nierozsądnego przyrzeczenia, ale możesz mi zaufać Johnie. Dosyć dawno łączy nas przyjaźń, a więc nie potrzebujesz miéć obawy w powierzeniu mi tajemnicy.«

»Dobrze, więc ci się zwierzę; nie mam innego wyboru. Wnet Williamie, życie moje będzie w twych rękach; młoda dziewica, którą w poniedziałek sądzić macie, Lea Meriel...«

»No?«

»Bynajmniéj nie jest winna zbrodni o którą ją obwiniono.«

»Czyli nie jest winna, pokaže się z procesu.«

»O, nie! Dlatego właśnie przyszedłem dzisiaj do ciebie. Tobie musiałem powiedzieć. Jesteś głową przysięgłych, i nieograniczony wywierasz wpływ na twych kolegów. Nikogo nié ma, ktoby nie oddał słuszności twoim talentom i twéj rzetelności; słowem mają cię za wyrocznią. Nie mówię ci tego, abym ci pochlebiał Wiliamie, ale abym cię przekonał, że spełnienie méj prośby, jedynie od twéj woli zawisło. Zdanie twoje będzie zdaniem wszystkich przysięgłych, a więc fundamentem wyroku. Dlatego rzecz jest wielkiéj wagi przekonać ciebie, że Lea Meriel nie więcéj jest winną zbrodni zabójstwa, jak ty sam!«

»Jakže mię możesz o tém przekonać?«

»Daję ci moje słowo Wiliamie; a czyż zawiodło cię kiedy moje słowo?.. Przysięgam na imię najwyższego Boga, który jedynie był świadkiem tego zabójstwa, że ona żadnego nie miała udziału w téj zbrodni. Z przyjaźni ku mnie, przyrzeczesz mi bronić jéj, aby ją za niewinną uznano?«

»Johnie, czyś ty zmysły postradał?«

»A więc wszystko ci opowiém.«

Powstał, zamknął drzwi; a przekonawszy się

że nié ma nikogo, usiadł znowu na stołku, i zaczął opowiadać owo okropne zdarzenie, które całkiem zdawało się zajmować słuchającego.

Gdy skończył przybyły mowę, ciężko westchnął redaktor, jak gdyby ciężar jaki zwalił z serca.

»No,« zapytał go przybyły; »przekonałżeś się o niewinności dziewczęcia?«

»Istotnie, przekonałem się.«

»Przyłożysz-że wszelkich starań, aby ją za niewinną uznano?«

»Tego żąda po mnie sumienie moje; i gdybym nie wiedział, że inne powody, niżeli te które ci świat zarzucać będzie, skłoniły cię do téj zbrodni, to uważałbym za powinność moją...«

»Zdradzić mię Wiliamie?..«

»Oddać cię karzącéj sprawiedliwości. Ale nie mam na to odwagi; z-resztą czyż nie byliśmy od dzieciństwa najszczérszymi przyjaciołmi?... Zbrodnia twoja jest okropna.... Ale kiedyś położył we mnie zaufanie, nie zawiedziesz się na mnie. Wszystkich użyję środków, aby uwolnić twoję ofiarę, resztę pozostawiam twemu sumieniu....«

»Ot patrz!« rzekł przybyły, wyrywając świt włosów z głowy. Te były już siwe i wyłaziły za najmniejszém poruszeniem, jak gdyby zniszczały w korzeniach... a jednakowoż byłyto włosy młodziana, który podług rysów, zaledwie dwadzieścia trzy lat liczył. — »Chcesz wiedzieć jakie piętno wyryte było na czole Kaina?« mówił daléj. »Spojrzyj na twarz moję... ale co mówię!... Kain zabił tylko brata swego, ja zaś..... O Boże, wielki Boże! Cóż się ze mną stanie!«

»Teraz gdy mi już nic więcéj nié masz powiedzieć, proszę cię Johnie... spodziéwam się.. że wszelkie związki ze mną zerwiesz. — Nie myśl abym ci miał uchylać przyjaźni mojéj, ale nie chcę mieć więcéj styczności z o...«

»Usta twoje nie zdołają wymówić tego okropnego słowa..... Bywaj zdrów Wiliamie!«

»Bywaj zdrów Johnie! Bywaj zdrów! O gdyby Bóg uwolnił cię od zbrodni, która tak srodze twoje sumienie gniecie!... Ale, nim odejdziesz odemnie, polecam ci młodego B. za adwokata.«

»Jużem mu właśnie tę sprawę polecił.«

»Bywaj zdrów, niech cię Bóg ma w swojéj opiece!«

»Bywaj zdrów!«

Wytoczono proces; trwał on trzy dni. Skutkiem tegoż, było uwolnienie wszystkich obwinionych. Życie Lei, jéj fizyczna słabość, stan w jakim ją przy odkryciu zbrodni znaleziono, okoliczność owa, że nóż bynajmniéj nie był krwią zbryzgany; rana Bazylego, jego życie rozwiązłe.... wszystko to mówiło na korzyść obwinionych. Uznano ich za niewinnych, a zbrodnia większą jeszcze tajemnicą była pokryta niż przedtém.

(Dokończenie nastąpi.)

Wyjątek z ogłoszenia
Pamiętników domowych

przez Michała Grabowskiego.

Patrząc jak na występek przeciwko publicznemu dobru, na ukrywanie albo nawet zwlékanie z ogłoszeniem każdego pomnika pospolitego interesu, rozpocząłem przeszłego roku z hrabią Alexandrem Przezdzieckim publikacyją »Źródeł do dziejów polskich;« lecz właśnie szykując te materyjały, postrzegłem, że mam w ręku inne, których w ten zbiór wcielić nie mogę bez zepsucia jego jednorodności. Te zbrakowane materyjały były to pamiętniki o obyczajach, notaty różnych prywatnych zdarzeń i tym podobne. Zapewne można i w nich było upatrzyć charakter historyczny; ale w ogólności różniły się one bardzo od źródeł prawdziwie dziejowych. Dla braku powagi, dla treści prywatnéj i podrzędnéj, w skład historyi publicznéj nigdyby może nie weszły; lecz natomiast jako materyał literacki, mogły być nierównie szacowniejsze, a przynajmniéj pomocnicze i literaturze i dziejom, w równéj mierze dla obu. Postanowiłem więc wydać je osobno, co w téj chwili przyprowadzam do skutku.

Nadając temu zbiorowi nazwisko »Pamiętników domowych,« myślę, że dosyć dokładnie oznaczam rodzaj przedmiotów, które weń wejdą; przedmioty te naturalnie rzadko kiedy przekroczą sferę najprywatniejszą; nie wysuną się z pospolitości życia.

Uprzedzamy więc, że tam nawet, gdzie treść naszych pamiętników zbliży się przypadkiem do historyi, nie będą one miały nigdy pretensyi wejść w jéj zakres; ale przestaną na podanin szczegółów o zewnętrznéj stronie wypadków; najwięcéj kiedy imą się téj samej historyi w rozmiarach pojedyńczego życia. Zbiérając w nich wszelkie barwy do narodowego malarstwa, wypadki publiczne dostarczą nam ich obficie; ale życzemy żeby nie zapomniano nigdy, że my w tém szukamy tylko treści i koloru p o d a n i o w e g o. Chcemy ażeby nasz zbiór był ile można obfitą, a przynajmniéj niezmąconą krynicą treści i barwy dla powieścio-pisarza, poety, malarza, zgoła każdego tworzącego z narodowego wątku, a którym dotąd niejako materyalny niedostatek wiadomości potrzebnych, staje co chwili na wstręcie.

I tam nawet, gdzie te wiadomości powtórzą szczegóły zkąd inąd znane, nie upatrujemy w tém słusznego przeciwko nich zarzutu. Niwa obyczajów krajowych jest tak rozległa i bogata, że nawet na polu z którego żniwo zebrano, godzi się wrócić do kłosowania, a nie bez nadziei znacznego plonu. W każdej poszczególnie prowincyi godzi się je badać, chociażby z jednego i tego samego okresu. Tym jedynie sposobem i ogólny obraz krajowego obyczaju złożyłby się zupełniejszy, i prowincyjonalne odrębności wyszłyby wyraźniéj na jaw. Dotychczasowe nasze zapasy składają się: z dwóch pamiętników o obyczajach szlacheckich w ogólności, — z rozpoczętego pamiętnika o Wołyniu, — z pamiętnika jednego wojskowego który nam skreślił krótkotrwały stan wojska polskiego, po reorganizacyi jego w 1789. roku, a do tego dołączemy spis rozmaitych pułków tych wojsk, ich mundury etc. Mamy oprócz tego rozmaite notaty o zwyczajach, charakterystycznych postaciach wieku dawnego i innych szczegółach. W osobnym oddziale skupimy rozliczne podania, któreby mogły służyć za bogatą osnowę do prawdziwie narodowych powieści. Dołączemy do tego zbioru wypadki zmudnych poszukiwań w starych prywatnych archiwach np. wyciągi z papierów prawnych. Spodziéwamy się jednak, że są to tylko słabe pierwociny materyjałów, które za sprawą czasu, naszych usiłowań, a mianowicie za pomocą tych, którzyby użyteczność tego przedsięwzięcia uznali, dadzą się zgromadzić i ogłosić. Dla tego właśnie pospieszamy z wydaniem tego co już mamy w ręku, ażeby pomysł nasz się ogłosił i wywołał lub naśladowców, lub pomocników. Tak samo jak rzekliśmy, że po wszystkich punktach kraju możnaby jednocześnie odrębne opisy obyczajów i zbiory prywatnych podań wykonywać, tak sądzimy, że każdy z tych, coby się jął pióra w tym samym przedmiocie, mógłby czémś nowém i nikomu innemu niedostępném, ogół tego rodzaju rozszerzyć.

Wydawca nic innego nie życzy, jak żeby ogłoszenie tego zbioru pobudziło gorliwych ziomków do wyratowania od niepamięci niknących z każdym dniem pamiątek przeszłości, — starsi wiekiem przez zapisanie osobistych wspomnień, — młodsi udzieleniem tych, które z podania otrzymali, — członkowie starożytnych rodzin przez zgromadzenie familijnych tradycyj. — Ci, którzy mają wstęp do archiwów, przez wyciągi z nich szczegółów wyjaśniających potoczne sprawy, byt prywatny okolic i rodzin, wypadki i zdarzenia pospolite, przyłożyliby się najgruntowniéj do założenia podstawy literaturze prawdziwie narodowéj samo przez się, do rozbogacenia jéj nową i bardzo zajmującą gałęzią. Wszelkie nawet najdrobniejsze tego rodzaju pomoce, któreby mi udzielone zostały, przyjęte będą z należytą wdzięcznością.

Zakończywszy tém wezwaniem do zasilania mojego zbioru, powtórzę raz jeszcze, że nie masz prawie nikogo, ktoby nie był w stanie udzielenia mi czegoś, a przeto wyświadczenia mniejszéj lub większéj, ale rzeczywistéj pomocy. W każdym bowiem domu, kiedy wieczorem i przy kominie wpadnie rozmowa na czasy przeszłe, cytują się jeszcze różne podania o ludziach i wypadkach dawniejszych; otóż nie chodzi o co innego jak o spisanie takich ponfnych wspomnień. — Każdą więc tradycyją o przeszłości, każdą legendę miejscową, każdy szczegół zdarzeń krajowych, pojedyńczy rys obyczaju, powieść o cudzie, bajkę o strachach i t. d. i t. d., wszystko to należy tylko zapisać prostemi słowy, a w naszym zbiorze znajdzie właściwe dla siebie miejsce. Ten bowiem zbiór dla tego nosi nazwę »Pamiętników domowych,« że ma zgromadzić domowe różne szczegóły, interesujące dla tego, że to nasze i o nas. Jestto prosta *silva rerum* jakie utrzymywali nasi przodkowie, a poświęcona nie osobliwościom całego świata, ale pamiątkom rodzinnym. — Nic więc dla tego zbioru nie jest nadto drobne. Wszelako musimy dodać (nie dla zalecenia naszego dzieła, ale dla wzbudzenia zaufania we wzywanych kollaboratorach), że takie zapisywanie drobnych na pozor szczegółów, nie jest przecie rzecz nieużyteczna i bez znaczenia. — Z tych rysów pojedyńczych utworzy się mówiący do imaginacyi i godny uwagi ogół. Rzekliśmy gdzieindziéj, i uznano to za rzecz dość słuszną, że zbiegiem szczególnych okoliczności zostajemy dziś jeszcze na pograniczu średnich wieków krajowych. Ztamtąd więc zdejmowane obrazy, są pomimo swą pospolitość szczególne i do niczego gdzieindziéj znajomego niepodobne. Ten ciekawy charakter osób i zdarzeń przebija się w najlichszej tradycyi z przeszłości. — Zresztą podania domowe, familijne, skrzętnie chowane i w bogatym zapasie, nie są bez największego wpływu na literaturę. Widzieliśmy z ich łona wystrzelającą cudowną poezyją szkocką. Ale to zamiłowanie rodzinnych powieści, te poufne rozmowy starszego pokolenia z młodszym, psują się i nikną wpływem innych zaprzątnień wieku; dla zaradzenia więc temu, dla uchowania i ustalenia tego ciągu tradycyi, obmyślony jest wyłącznie zbiór niniejszy. — Adres pod którym mogą być przysyłane pożądane notaty, jest: Mich. Grabowskiemu, Kijowskiéj gubernii, przez Czebryn, w Alexandrówce. *M. Gr....*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 26. i obejmuje: 1) O uprawie grochu zimowego. *(Lathyrus cicera, — Winterplatterbse.)* 2) O torfie. III. Zwęglenie torfu w mielerzach, piecach węglarskich i smolarskich, przezco siła jego palna i ogrzewająca, z zatrzymaniem zwyczajnéj objętości cegły torfowéj, znacznie się powiększy. (Dokończenie.) 3) O lasach obwodowych czyli rezerwowych, przez Rafała Helma, urzędnika leśnego. 4) O parzonce pana Kirchhofa. 5) Wydoskonalony kosz żelazny do gorzelni.

Z Warszawy. *Biblioteka Warszawska* na miesiąc kwiecień zawiéra następujące artykuły: 1) O znaczeniu Prus dawnych, przez Dominika Szulca. 2) Krótki rys alchemii, ułożony według Schmiedera przez J. B. Dziekońskiego. 3) Pieśni ludu na północy, wyjątek z dzieła X. Marmier, przez L. Potockiego. 4) O dzisiejszym stanie sztuki dramatycznej w Polsce, ze względu na najnowsze w tym rodzaju utwory, przez A. Przeździeckiego. 5) Poezyje: Kurpie, M. Morzkowskiego; Rzeźbiarze, scena dramatyczna Lenartowicza. 6) Dowody kilku podań geometrycznych, przez A. Frączkiewicza. 7) Rozmaitości. 8) Kronika literacka. 9) Kronika zagraniczna. 10) Kronika bibliograficzna. 11) Doniesienia literackie. 12) Dostrzeżenia meteorologiczne w obserwatoryjum astronomiczném warszawskiem za miesiąc luty 1844. 13) Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatoryjum warszawskiem w r. 1843 robionych.

Teatr w Warszawie. Umieszczony w wiedeńskiej Gazecie teatralnéj list z Warszawy pod dniem 22. maja, donosi: Po czasach dostatku nastąpiły w zarządzie naszych teatrów czasy pieniężnego ubóstwa, które, gdybyśmy o niém zkądinąd pewnej nie mieli wia-

domości, jużby się ztąd okazało, iż teraz dla napełnienia kasy, bywają dawane na scenie sztuki, które mimo niedostateczność naszego repertoarza, nigdyby pewnie nie były dostąpiły tego zaszczytu. Ten niedostatek pieniężny powinien nas tembardziéj zadziwiać, iż terazniejszy zarząd teatrów, zostający obecnie w ręku półkownika żandarmów Abramowicza, objął w swoich początkach bardzo dobrze zaopatrzoną kasę, która się następnym sposobem zbogaciła: Poprzedni zarządca teatrów, jenerał Rautenstrauch, zmarły przed kilkunastą miesiącami, uskarżał się kilkokrotnie przed cesarzem, że teatry warszawskie żadnych korzyści nie przynoszą, i że tyle nawet dochodów nie mają, ile wydatków na ich utrzymanie potrzeba. To cesarza bynajmniéj nie zdziwiło. Najprościejszą rzeczą byłoby kazać zamknąć jeden z obu istniejących teatrów lub jakiekolwiek inne zaoszczędzenia wprowadzić; lecz teatry w Warszawie mają jako środki rozrywki ważność polityczną i musiały tedy być zachowane, i to jeszcze z tą samą powierzchowną jak dawniéj wystawą. Przeto nietylko że cesarz jenerałowi Rautenstrauch skarg jego za złe niewziął, ale owszem rozkazał, aby miasto z swoich funduszów corocznie zarządowi teatrów 100,000 zł. pol. wypłacało. Mimo to wszystko jednakże, po śmierci jenerała Rautenstrauch w zaprzeszłym roku, znalazło się w osobnéj kasie, o któréj wyższa izba obrachunkowa nic nie wiedziała, 500,000 zł. pol. Ta suma uzbierała się poczęści z wspomnionych dopłat miejskich, poczęści zaś z przewyżki dochodów teatralnych i miała urość aż do milijona, za który jenerał Rautenstrauch mógłby był dokonać swojego dawno już zamierzonego planu przebudowania i powiększenia Teatru Wielkiego, którego pierwsza budowa się nie powiodła. Te nieprawnym, lecz rzetelnym i bezinteresownym sposobem uzbierane 500,000 zł. pol., zostały oddane nowemu zarządowi, który je na bardzo powierzchowną restauracyję obu teatrów, na przedstawienie kilku lichych, lecz z największym przepychem wyposażonych widowisk, i na kilkumiesięczne utrzymanie mało dochodu przynoszącéj włoskiéj opery, do tego stopnia wraz z świeżemi zasobami teatrów wyczerpał, iżby sobie teraz bardziéj niż kiedykolwiek za czasów Rautenstraucha, życzył otrzymać owe cesarskiém rozporządzeniem wyznaczone dopłaty z funduszów miasta, które wszakże po takiém doświadczeniu, bardzo trudno aby mu były powrócone.

Z małych przyczyn — wielkie skutki. Gdy zmarły niedawno bankier Laffitte przybył w r. 1788. do Paryża, było jego najwyższém życzeniem otrzymać jakie podrzędne miejsce w którymkolwiek handlowym komtuarze. W tym zamyśle udał się z polecającym listem do bankiera Perregaux. Ale ten odprawił biednego, nieśmiałego młodzieńca z niczém, ponieważ w jego biurze żadnego opróżnionego nie było miejsca. Młody zasmucony Laffitte, wracając z spuszczoną głową przez podwórze, spostrzegł leżącą na ziemi śpilkę, schylił się, i podjąwszy wpiął ją sobie w surdut. Ani pomyślał o tém, że ta licha śpilka los jego życia rozstrzygnęła. Pan Perregaux umiejący z najmniejszych drobnostek ważne czynić wnioski, stał przypadkiem przy oknie, i uważał wychodzącego młodzieńca. Widział jak podniósł śpilkę i od téj chwili zajął się nim życzliwie: ujrzał w tém charakter lubiący porządek i oszczędność, pewną rękojmię wszystkich własności jakie człowiek finansów mieć powinien. Jeszcze tego samego wieczora otrzymał Laffitte wezwanie od pana Perregaux, aby nazajutrz wstąpił do jego komtuaru. Jakoż nie zawiódł się nasz bankier: młodzieniec ze śpilką u rękawa, posiadał wszystkie potrzebne własności. Został wkrótce kassyjerem, późniéj spólnikiem, potém szefem pierwszego bankowego domu w Paryżu, wreszcie deputowanym, a nakoniec prezydentem rady ministrów. Bez owéj śpilki byłby Laffitte u bankiera Perregaux nie otrzymał miejsca, inny przełożony nie byłby mu zapewne zdołał otworzyć tak świetnego zawodu, w mniéj świetnym zawodzie nie mogłyby się były tak obficie rozwinąć jego talent, i tak pomyślne wydać skutki. Perregaux ocenił go dokładnie, lecz tylko z jednéj strony: bo o téj dobroci serca i téj szlachetności, któréj Laffitte w swojém życiu tyle dał dowodów, trudno się było przekonać z podjęcia śpilki.

Dziwne podanie prośby. Pleban pewnéj parafii w księztwie Br. miał się dość dobrze, tylko mieszkanie jego było bardzo zdezelowane i groziło codzień upadkiem. Udał się on najprzód do gromady, aby mu lepsze mieszkanie wyznaczyła. Gromada przyrzekła chętnie przyłożyć się do wybudowania mu nowego pomieszkania, lecz oświadczyła zarazem, iż nie jest w stanie opędzić całkiem kosztów budowy. Nie pozostało tedy proboszczowi nic innego, jak napisać do konsystorza i prosić o łaskawe dopełnienie brakującéj sumy ze skarbu. Całą jednak odpowiedzią było zwyczajne: »Nie ma na to funduszów.« Zgryzło to mocno plebana, lecz nie stracił odwagi; chodziło tu bowiem o jego życie. Zabrał się więc nanowo do pisania i podał żywy i silny opis swojego niebezpieczeństwa życia wraz z najuniżeńszą prośbą do ministeryjum państwa. Ale i tu nikt na jego prośbę nie zważał. Teraz już nie było innéj dla niego rady, jak tylko udać się wprost do samego panującego księcia. Otóż gdy właśnie pracował nad napisaniem prośby do niego, rozeszła się pogłoska, że książę następującéj nocy przez wieś przejéždżać będzie. Stara plebanija stała tuż przy gościńcu. Nad wieczorem zerwał się był wiatr mocny, z czego ksiądz proboszcz korzystając, wpadł na myśl osobliwą: swoję prośbę do księcia nie słowami lecz symbolicznym czynem tak wyrazić, aby to nie mogło ujść uwagi dostojnego podróżnika. Na ten koniec przyczepił do wierzchołka swojego domu potężny powróz, przeciągnął go przez drogę, i przywiązał po drugiéj stronie do stojącego tam drzewa, przezco droga przeciętą została. Gdy już powóz księcia nadjechał, przelękły się konie powrozu i stanęły. Książę zapytał o przyczynę, a zgromadzeni chłopi odrzekli księżęciu: że ksiądz proboszcz przywiązał do drzewa swoje pomieszkanie, aby mu go burza nie zwaliła. — Na co pełen zdziwienia rzekł książę: »Gdzież jest proboszcz? Niech go tu przywołają.« Pleban czekał już w poblizkości, aby słyszeć co się stanie i co czynić wypadnie. Wylazł przeto z swego ukrycia, zbliżył się z głębokim ukłonem do księżęcia, dał potrzebne objaśnienie i prosił najpokorniéj o zaradzenie jego niedostatkowi. Książę uznał wprawdzie sposób, jaki pleban do przedstawienia swéj prośby obrał, za niestosowny godności stanu duchownego i skarcił go surowemi słowami, lecz zaraz następnego lata kazał proboszczowi wygodne zbudować pomieszkanie. Podanie zaś powrozowe zachowuje się dotąd w wesołéj pamięci mieszkańców i przechodzi z pokolenia w pokolenie.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.